



# ŻYCIE TEATRU

1961-1962

2

# ŻYCIE TEATRU

WYDAWNICTWO PAŃSTWOWYCH TEATRÓW DRAMATYCZNYCH  
WE WROCŁAWIU

Sezon 1961/62

Zeszyt 2

## TREŚĆ ZESZYTU

1. ANDRZEJ KIJOWSKI – ŚMIECH ZAMIAST CZEGO . . . . . 4
2. W GOSPODZIE POD ZNUDZONYM INDYKIEM . . . . . 6
3. LEONIA JABŁONKÓWNA – INDYK A SPRAWA POLSKA . . . . . 7
4. Z MOTYKĄ NA SŁONIA . . . . . 9

Zeszyt drugi

wydany z okazji premiery „Indyka“  
Sławomira Mrożka  
dnia 29 października 1961 r.



Urodziłem się jeszcze przed wojną, bo od czegoś trzeba było zacząć. Wykształcenie odebrałem umiarkowane. Długi okres mojego życia spędziłem w Krakowie i okolicach Pieskowej Skały. Jestem krótkowidzem o surowych obyczajach.

Utrzymuję się z pisania opowiadań, sztuk teatralnych i rysowania.

*Stawomir Mroczek*

## ŚMIECH ZAMIAST CZEGO?

(fragment)

Od kilku lat toczy się przez Polskę wielki śmiech drwiący, zły, gniewny, śmiech powszechny, zaraźliwy, niejako obowiązkowy, po którym rozpoznaje się między sobą pospolite ruszenie zdrowego rozsądku wymierzone przeciwko głupstwu, bałaganowi, niekompetencji, złej woli, lenistwu, śmieszności, absurdowi, pijaństwu, przekupstwu, niezdolności przeciw powadze i pysze tych, którzy nie słyszą i nie widzą jak inni tych, którym śmiech nie otworzył oczu i uszu. Przez kraj przebiega linia podziału na zdolnych i nie zdolnych do śmiechu. Pierwsi stanowią potęgę jawną, rozpoznają się natytnychmiast po grymasie ust, po umownych hasłach, odnajdują się w tłumie, w druku, w teatrze, w kinie, mają wspólne upodobania, wspólne bożyszcza, wspólnych wrogów. Drugi stanowią się ukrytą, doskonale zakonspirowaną, ukrywa się jeden przed drugim, na co dzień postępują się mową pierwszych, stanowią sektę działającą w podziemiu, gromadzą się chyba w miejscach ustronnych na tajemnicze misteria powagi i pychy, na co dzień udając „niewiernych”, publicznie spełniając ich rytuał, rytuał śmiechu, drwiny, politowania. Należy podejrzewać, że pierwsi są drugimi, drudzy pierwszymi, a wszystko polega na doskonałej podwójnej konspiracji. (...).

O czym pisze prasa na tych stronach ostatnich, najbliższych czytelnikowi, czym zajmują się satyryczno-publicystyczne audycje radia, z czego żyją zawodowi humoryści, felietoniści, dostarczyciele tekstów dla teatrów lekkiego repertuaru, czym można Polaków ubawić, co wzbudza ich śmiech? Idiota-dyrektor, lizus-referent, funkcjonariusz-łapownik, dygnitarz-analfabeta, organizator-niezdara — otwórzcie raz jeden radio, kiedy odbywa się tak zwany „podwieczorek przy mikrofonie” zaleje was gęsta, cuchnąca ciecz humoru urzędniczego, małomiasteczko-

wego, powiatowego, „u nas adin prokurator, no toż swynja” Humorek powszechny „mówiony” znajduje ofiary wszędzie, humorek pisany, wygłaszany, śpiewany, rysowany ma swoje cele ulubione i swoje ciosy rytualne: prezes, kierownik, referent, kelner, ostatnio milicjant ze służby ruchu. Katalog jest krótki, lecz nie chodzi o to, nie chodzi o cele konkretne, raczej o sam akt drwiny, o sam grymas, o samą tonację, o spełnienie obrzędu, o to, aby słuchacz, widz, czytelnik zospokojony został przez ową „satyrę, która stała się w naszym życiu społecznym swoistą instytucją, jej wykonawca postacią mitologiczną, trochę jak błazen na dworze lub szaman dzikiego plemienia, ten, co widzi lepiej od innych, „ma dar”, posiada szczególne okulary — patrz stała rubryka „Przekroju” pod tytułem „Przez okulary Sławomira Mrożka”. Ten ostatni ma pozycję szczególną, widzi lepiej od innych, głębiej i dalej: poprzez swoich kelnerów, prezesów, kierowników dostrzega najgłębiej ukryte cechy naszego narodu, śledzi je w kolejkach naszej historii, od „bolączek” przechodzi do „wad”, czyli osiąga stopień śmiechu wyższy, absolutny. Nie pytajcie o jego sposoby, nie one są ważne: sztubacki rysunek, skecz, porodia literacka, absurdalny dowcip, raz bardzo śmieszny, innym razem nie — nie o to chodzi, lecz o kontynuację, o działalność wytrwałą, o to, aby z samego siebie stworzyć instytucję trwałą, godną zaufania. Sztubackie rysunki ukazują się w osobnych albumach, skecze rozciągnięte do maksymalnych rozmiarów wychodzą na sceny dużych teatrów, parodie i dowcipne koncepty ukazują się w tomach. Widz, czytelnik, słuchacz znajduje w nich poparcie dla swego śmiechu codziennego, w grymasie zawodowego humorysty odnajduje odbicie swego własnego grymasu, obywatel rozśmieszony czuje się zbawiony od głupstwa i odpowiedzialności za nie, przyjęty do bractwa wesółków, które na wszystkich dworach cieszyło się przywilejami bezczynności i bezkarności.

Toczy się przez Polskę wielki, błazeński śmiech, w którym ludzie niezadowoleni z siebie odnajdują dobre samopoczucie bez szczególnego wysiłku.

Pozostaje do rozważenia: czyje miejsce zajął w naszym społeczeństwie błazen, zamiast czego znakiem solidarności jest śmiech?

Andrzej Kijowski

[Przegląd Kulturalny Nr 41 (476)]

(fragment)

Satyre mamy wielką czy małą? Poprzestajemy na satyrze drobnej — utarczkach z utrapieniami codziennego dnia i leczeniu bolączek na miarę tygodniowych zwolnień przez lekarza dyżurnego — czy też bijemy się o satyrę dużą walczącą frontalnie, atakującą sprawy, trudności węzłowe? O teściową, kociaki, swawolnych dyziów, kelnera z kolegą i łapóweczki w okienku chodzi, czy też o Gogolów i Szczedrinów? Sławomir Mrozek z dowcipów o najbliższym temacie tworzy surrealistyczny obraz światka, w którym się poruszamy, a satyrą na policję czy wesele w Atomicach, na tygrysa w łazience i ludożerców na pełnym morzu, rozprawia się ze światem otaczającym go, takim, jakim go widzi, absurdalnym w jego ujęciu, chociaż nie niezrozumiałym. Chcecie satyry, no to ją macie — powiada Mrozek — „Polska w obrazach”, chrzan.

Satyra Mrozka w „Indyku” jest ostra, owszem — szkoda, że tej rozprawie brak busoli, i że ten brak wydaje sztukę na łup kapryśnych żywiołów (także teatralnych). Rozumiecie o co chodzi? Gdy Wyspiański bił z furii w marazm i w niemożność współczesnego mu społeczeństwa — przeciwstawiał im pozytywne cele, pozytywne zamierzenia, opowiadał się ze pewnym programem na tak. Gdy Mrozek poddaje krytyce ludzi z zajazdu, jego sztuka jest wypowiedziana jakby z obiektywistycznych pozycji, jest w niej bystrość obserwacji, ale jak by brak zaangażowania. To satyra jak by beznamiętna w szyderstwie, obojętna we wnioskach. Można i tak. Ale wstrząsową, dydaktyczną funkcję satyry uważam za niemniej ważną niż jej środki demaskatorskie.

Starzy ludzie mawiali: „gryź sercem”. Ten organ w „Indyku” jest w stanie szczątkowym. Stąd „Wesele” nie wydaje się tak beznadziejne jak „Indyk”, chociaż „Wesele” to młodopolski dramat z widmową symboliką, a „Indyk” — satyrafarsa z komicznymi gagami, inteligentny popis z kawiarnianej estrady, tradycje „Zielonego Balonika” a nie Świętego Ducha (tu, gdzie Wyspiański odbywał „Wesele”, głosił „Wyzwolenie”).

Jaszcz

(Trybuna Ludu Nr 276. 7. X. 1961 r.)

## „INDYK” A SPRAWA POLSKA

(fragment)

Oto jak da się określić naszą obsesję dzisiejszą nieustające, nieprzerwane opętanie Polaków. I oto znów, całkiem inne niż w przypadku amerykańskim, ale równie paradoksalne i osobliwe zjawisko: zmieniła się wszakże zupełnie sytuacja ogólna, zniknęły, chwalić Boga, warunki obiektywne, które powodowały zrodzenie się i utrzymywanie naszego kompleksu: a jednak nadal nie wyzwoliła się od niego ani nasza literatura, ani przede wszystkim nasz teatr. Tylko, że u nas, w przeciwieństwie do Amerykanów praktyków i realistów, operujących zawsze konkretem, kompleks wyraża się poprzez przenośnię, aluzję, symbol, uogólnienie poetyckie. I tak już to weszło nam wszystkim w krew, że choćby autor pisał o teorii kwantów, czy o żywocie Seneki, czy o hodowli pieczarek — spoglądamy w jego stronę ze zmruczeniem oka i dajemy wyraz naszemu pełnemu zrozumieniu, szepcząc mu do ucha — a często zresztą głosząc to urbi et orbi — słowami Wyspiańskiego: „Ty przecie mówisz o Polsce! Ty myślisz o Polsce!”...

Czy też Mrozek w swoim *Indyku* myślał o Polsce? Zepewne; ale chyba nie tak wyłącznie, jak to zostało ogólnie odczytane. Wydaje mi się, że ten dowcipny pastisz literacki może być pojęty w daleko szerszym znaczeniu; że jego wena parodystyczna ma zasięg o wiele bardziej generalny. Dotyczy w ogóle pewnego stosunku do rzeczywistości, pewnej postawy życiowej, na którą nasz kraj nie ma bynajmniej wyłącznego monopolu. Jest to postawa charakteryzująca w ogóle epoki przełomów, epoki w których przeżywają się i zapadają w nicosć pewne ustalone schematy — wierzeń, konwencji, obyczajów — a nowe jeszcze się nie narodziły albo nie zostały jeszcze przyjęte przez świadomość powszechną. Ten stan przejściowy, to zawieszenie w jakiejś próżni — wymagowanej oczywiście, gdyż prawdziwa próżnia w tym sensie nie istnieje — wywołuje fatalne

poczucie czczości, nudy, niesmaku i zniechęcenia. Tak jak kociokwik po przepiciu. To są zjawiska typowe; przecież bardzo podobne objawy występowały w okresie fin de siècle'u, wśród intelektualistów całej Europy i Ameryki — nie tylko w Polsce. Taki sam proces, tylko spotęgowany i zataczający szersze kręgi, powtarza się dzisiaj — poza naszymi granicami przybierając formy o wiele jeszcze drastyczniejsze i groźniejsze. Rzecz jasna, że *Indyk* nie może być traktowany zbyt generalnie, jako apokaliptyczny „obraz ginącego świata”. Ale także nie powinno się go chyba odczytywać wyłącznie jako jeszcze jednej paraboli na temat naszych tradycyjnych wad narodowych. Wydaje mi się, że byłoby to niepotrzebne i nietaktowne windowanie go na zbyt wysoki piedestał; a jednocześnie byłoby jego pomniejszeniem, rozmijałoby się z „kierunkiem uderzenia” jego ostrza satyrycznego i zresztą z całą jego fakturą, z gatunkiem jego metaforyki. Ta metaforyka jest bardzo dyskretna, wieloznaczna, i nie znosi jakiegś natrętnej, ostentacyjnej konkretyzacji. To tak, jak z tym jajkiem, ni to kurzym, ni to indyczym, o którym mówił u niego Chłopi:

- Cała bieda tylko w tym, że nie jest ci ono okrągłe.
- W samej rzeczy, spiczaste jakieś...
- A wyjdzie z niego co?
- A co by nie miało wyjść? Wyjdzie.
- A co?
- A kto to może wiedzieć? Poczekać trza...

Ta właśnie wieloznaczność, zamierzony i wyrafinowany brak precyzji jego uogólnień — połączone z wielką precyzją detali — przydają tej fantastycznej przypowieści urok świeżości, niespodzianki, czynią z niej klejnocik bardzo indywidualny i osobliwy. Szkoda by ją tego pozbawiać.

Leonia Jabłonkówna

(Teatr, Nr 13, 1–15. VII. 1961 r.)

## Z MOTYKĄ NA SŁONIA

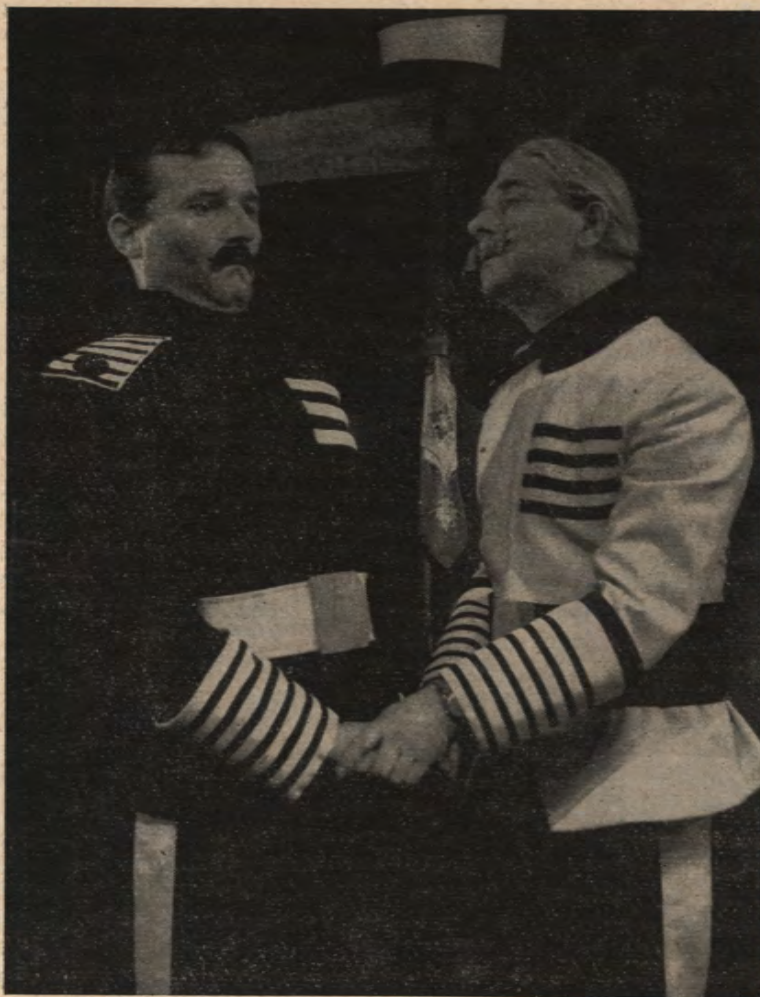
Gdy oznajmiłem w gronie znajomych, że mam zamiar napisać krytycznie o Mroźku — spojrzano na mnie z obrzą, a w oczach paru osób dostrzegłem nawet silny wstręt. Poczem chórem oznajmiono, abym się nie ważył. Nie słuchano moich argumentów, zatykano rękoma uszy, machając nimi na przemian. Gdym usiłował wyłożyć swoje racje na migi — zrzucano mnie ze schodów. Będąc już na dole usłyszałem „Boże coś Polskę”. Śpiew brzmiał uroczyście i rozłożony był na głosy. Potężniał, rozlewał się, od sinych Tatr po modre fale Bałtyku. Rozróżniałem tenory intelektualistów, basy krytyków literackich, soprany uczennic i mezzosoprany matron polskich. Nad wszystkimi górował dyszkant profesora uniwersytetu, który zna się prócz tego na teatrze, oraz alt pewnej pani, która na teatrze się nie zna.

Hołd oddała Mroźkowi cała Polska, albowiem wszyscy kochają Mroźka. Cóż mogę zatem uczynić? Jedyne wykrzyknąć: „Rodacy! I ja kocham Mroźka, ale miłością dojrzałą, która nie zaślepia. Dostrzegam przeto w obiekcje umiłowanym właściwe proporcje, co czyni mi Mroźka jeszcze bliższym, bo wiem ukazują mi jego pełnię. Chcę bronić Mroźka przed wami, o wielbiciele bezkrytyczni, którzy krzywdę bezwiedną mu wyrządacie windując na piedestał monumentalny, na który wspiąć się można używając jako stopni co najmniej Gogola, Szchedrina, Marka Twaina i G. B. Shawa. Oraz Gombrowicza — jakby dodał Artur Sandauer.

Bronić chcę Mroźka przede wszystkim przed krzywdzącą opinią, jakoby był on satyrykiem-intelektualistą z humanistycznym podtekstem.

Czymże jest satyryk? Krzywym zwierciadłem rzeczywistości. Kim jest Mroźek? Krzywym lustrem — fikcji. I w tym tkwi jego największa zasługa.

Porównajmy dla przykładu twórczość intelektualnego satyryka — Stanisława Zielińskiego z dziełami autora „Słonia”. Groteski Zielińskiego — to świat widziany oczami preražo-



Scena ze sztuki Sławomira Mrożka pt. „Policjanci“ w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu w r. 1959

nego. To świat, w którym realne niebezpieczeństwa, realne konflikty, realne zło — zostały wyjaskrawione do punktu ostatecznego, do granicy absurdu. Ale tylko do granicy. Autor „Statku zezowatych” nie zna rozkoszy czystej zabawy polegającej na igraniu nonsensami, nie potrafi śmiać się bezinteresownie. Każda groteska Zielińskiego kryje w podtekście namiętny, bunt często tragiczny. Jego kapitalny zmysł komizmu pełni funkcję służebną, jest lukrem humoru pozwalającym na przełknięcie gorzkiej pigułki prawdy. Przypomnijmy sobie opowiadania ze „Statku zezowatych”, choćby „Kubę Zucha” — kapitalne studium wojennej psychozy zmieniającej normalnych ludzi w „zasłużonych morderców”, choćby wstrząsające „Historio, Gibba” — katastroficzny szkic epoki Wielkiego Strachu.

Mrożka łączy z Zielińskim tylko jedno — poczucie humoru. Łączy tak silnie, że wobec niewspółmiernej popularności obu pisarzy można się spotkać z opinią, iż Zieliński jest pod wpływem Mrożka. Oczywiście nieporozumienie! Do królestwa Mrożka nikt nie ma dostępu.

Mrożek potrafił w mistrzowski sposób zbudować swój świat czystej fikcji, „pure nonsensu”, w którym rządzi prawo inwersji, jako główna podstawa dowcipu. Ale nie jest to jego największą zasługą. Mrożek bowiem nie ograniczył się do stworzenia parareeczywistości, ale zdołał zasugerować opinię, jakoby jego akt twórczy wynikał z zaangażowania w sprawy świata tego. Jakoby istniały w jego opowiadaniach, groteskach, sztukach, żartach — jakieś najcieńsze aluzje, głębokie podteksty, zawoalowane metafory, para i hiperbole i w ogóle cała kolekcja narzędzi poznawczych.

Dopiero realizacja tej największej mistyfikacji objawia nam prawdziwe mistrzostwo Mrożka. Bowiem dzięki niej nikt — jak dotąd — nie odkrył, że autor „Indyka” nie czerpie soków żywotnych z niewdzięcznej gleby, po której stąpamy, a tylko i wyłącznie potrafi wyciskać soczek z pożółkłych płacht starych gazet i książek, z kukielek imitujących ludzi i naturalnej wielkości manekinów.

Mrożek jest czułym sejsmometrem wykrywającym drgania śmieszności wszelakich, zaklętych w mowie i piśmie. Dla Mrożka świat mógłby nie istnieć; do inspirowania twórczości wystarczyłaby podręczna biblioteczka. Tam, gdzie Zieliński kpi z żywego człowieka, Mrożek drwi z literackiego bohatera wymyślonego przez: Gombrowicza (vide „problem niemożno-

ści" w „Indyku”), Sartre’a i Kruczkowskiego („Na tratwie” — studium „wolności wyboru” w sytuacji przymusowej), Becketa („Strip tease“ czyli „Akt bez słów“ ze słów nadmiarem). Drwina obejmuje szczególnie chętnie bohaterów literatury dawnej, z obsesyjnym uwrażliwieniem na Sienkiewicza i Edgara Allana Poe’go.

Mroźek jest więc w istocie nie satyrykiem, lecz parodystą, który wykrywa: nie śmieszności ludzkie, lecz — literackie. To po prostu przykład doskonałej maszyny do strzyżenia zapomnianych i aktualnych trawników, na której rosną literackie kwiatki.

Mroźek strzyże wszystko. Nie ma dla niego terenów niedostępnych. Zna potrzeby czytelników „Przekroju“ i „Szpilek“ równie dobrze, jak tęsknoty do „pure nonsensu“ wśród bywalców literackiej kawiarni. Zatem dla każdego coś milego. Zmiana kostiumu błyskawiczna: od czapki pseudo Stańczyka do wycinka twarzy z okularami. W czapce można wygłaszać zdania o prawdziwej i zwykłej wolności, przez okulary udziela się porad dla niedźwiedzi, aby zbiły po mordzie małpę, od której człowiek pochodzi.

I śmiech, ogólnopolski śmiech z dowcipu Mrożka.

Dzięki swej uniwersalności bije Mroźek na głowę wszystkich kolegów po fachu, jest ogólnie dostępny i dla każdego strawny. Wspiął się na tak wysokie piętro, że nie dostrzega przyziemnych potrzeb zjadaczy chleba, ale syci głód ten wyższy, głód śmiechu z czegokolwiek, co może być śmieszne.

Jako subtelny psycholog Mroźek wie, że nie ma gorszej zniewagi, jak pokazanie komuś jego własnej twarzy w krzywym zwierciadle. Satyrycy typu Gogola, czy pozostając przy naszym rodzimym Zielińskim — chcą zmienić świat, nie wiadomo skąd czerpiąc przekonanie o swoim posłannictwie. Stąd dręczą czytelnika dydaktyką, bawią się w stawianie drogowskazów, znaków ostrzegawczych, udzielają porad itp. Cóż, humanistów się czeni, ceni lub poważa, ale kochać można tylko Mrożka. On nikomu żywemu szpilki nie wsadzi, nikt konkretnie nie odczyta aluzji pod swoim adresem, nikt się nie obrazi. A w królestwie kukielek i manekinów pojęcie „obrazy“ na szczęście nie istnieje.

Trzeba zatem kochać Mrożka za to, kim jest, a nie za to, kim mógłby być, gdyby przestał być Mrożkiem, przez co przestalibyśmy go kochać. Jasne?

Śmiejmy się przeto z reliktyw monarchii austro-węgierskiej, ze sztukaterii secesyjnej, ze słów „aczkolwiek“ i „wszelako“,



Scena ze sztuki Sławomira Mrożka pt. „Policjanci“ w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu w r. 1959



nie doszukując się tam ostrza krytyki, ani filozoficznego podtekstu.

Śmieszny jest pomysł polowania na bałwany śniegu (szne-many — kapitalny dowcip lingwistyczny!), ale nie dopatrujemy się tu jakiegokolwiek akcentu satyrycznego; gdy popełniamy błąd, dostrzeżemy, że jest to satyra na fałszywą filantropię warstwy ziemiańskiej i czym prędzej zmienimy temat, bowiem nie godzi się ośmieszać szacownych zwłok.

Dopiero wtedy, gdy dostatecznie pojmujemy, że Mrożek nie chce być apostołem żadnego programu filozoficznego, żadnej idei naczelnej, że nie sugeruje nam żadnych rozwiązań istniejących konfliktów społecznych, dopiero wtedy możemy się nim właściwie rozkoszować. Bierzmy więc do ręki jego twórczość „jak leci”, nie robiąc fałszywej klasyfikacji.

Traktujmy Mrożka tak, jakby był naszą mamusią, opowiadającą nam na uszko słodkie bzdurki. Na przykład takie, cytuję:

„Do najskuteczniejszych należy działanie na kompleks Edypa. Niedźwiedź niespodziewanie głaska człowieka po główce, tak, żeby człowiek przypomniał sobie dzieciństwo. Nie zaszkodzi rzucić mu kilka ciepłych słów. Wtedy rysy człowieka zmieniają się, człowiek zaczyna pożądać niedźwiedzia miłością kazirodczą, zaś niedźwiedź wykorzystuje oczywiście tę jego chwilową słabość i oddala się spokojnie w krzaki. Dla sierot, które nie pamiętają mamusi, wystarczą zdjęcia pornograficzne o tematyce ogólnej”.

Pewien filozof (Demokryt z Abderry, 460—357 p.n.e.) mawiał, że „dobro i prawda są dla wszystkich ludzi te same — natomiast przyjemne jest dla jednego to, dla drugiego owo”.

Podziękujmy więc serdecznie Mrożkowi za to, że nam to i owo uprzyjemnia.

Oselka

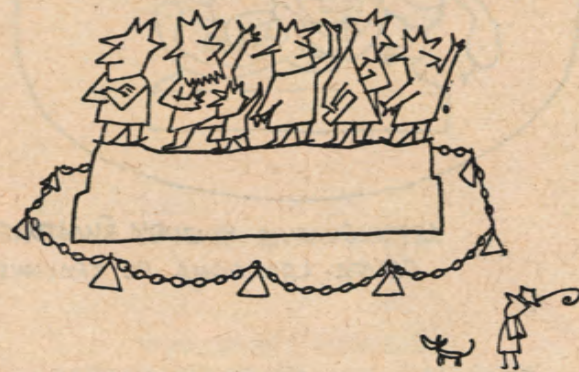
(Nowa Kultura 33 (594), 13. VIII. 1961 r.)

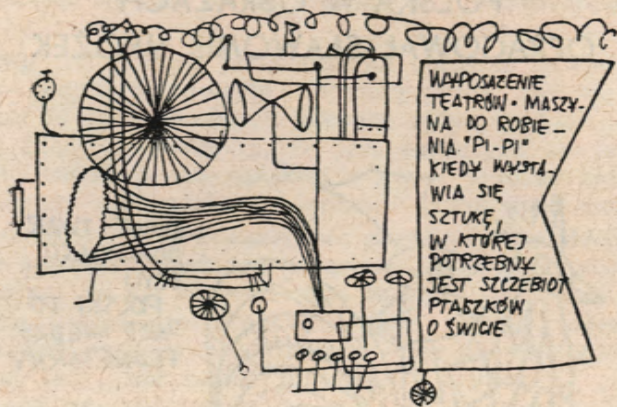
## POLSKA W OBRAZACH OPRACOWAŁ SŁAWOMIR MROŻEK



KOGUT TWAR-  
DOWSKIEGO,  
CZYLI  
POLSKI PO-  
JAZD MIĘDZY-  
PLANETARNY

POMNIK KOLEKTYWU





WYPOSAZENIE  
TEATRU - MASZY-  
NA DO ROBIE-  
NIA "PI-PI"  
KIEDY WYSTA-  
WIA SIĘ  
SZTUKĘ,  
W KTÓREJ  
POTRZEBNY  
JEST SZCZEBIOT  
PTASZKÓW  
O ŚWIECIE



ASYMILOWANIE KULTURY ŚWIĄTOWEJ:  
GRUPA LAOKOONA PO KRAKOWSKU

WYDAWCA I REDAKCJA  
PAŃSTWOWE TEATRY DRAMATYCZNE  
WROCLAW, UL. G. ZAPOLSKIEJ 3  
Sekretarz Redakcji: ZDZISLAW DUSZEWSKI

CENA ZL 3.-

PAŃSTWOWE TEATRY DRAMATYCZNE WE WROCŁAWIU  
ODZNACZONE ORDEREM „SZTANDAR PRACY“ II KLASY

SŁAWOMIR MROŻEK

# INDYK

melofarsa w 2 aktach

Inscenizacja i reżyseria:  
ANDRZEJ WITKOWSKI

Scenografia:  
MARCIN WENZEL

Opracowanie muzyczne:  
ANDRZEJ WITKOWSKI – JANUSZ KOZIOROWSKI

Kierownictwo artystyczne:  
JAKUB ROTBAUM

Kierownictwo literackie:  
ROMAN WOŁOSZYŃSKI

Dyrektor Teatru:  
ZDZISŁAW GRYWAŁD

Premiera w Teatrze Kameralnym dnia 29. X. 1961 r.

OSOBY

LAURA	— HALINA DOBRUCKA
RUDOLF	— STANISŁAW SIEKIERSKI
POETA	— ZYGMUNT HOBOT
KAPITAN	— WŁADYSŁAW DEWOYNO
KSIĄŻĘ	— JAN SZULC
STARZEC Z GÓR	— ZBIGNIEW NAWARA-NOWOSAD
CHŁOP I	— ANTONI ODROWĄŻ
CHŁOP II	— MIECZYŚLAW ŁOZA
CHŁOP III	— LUDOMIR OLSZEWSKI

Przedstawienie prowadzi:  
KAZIMIERZ HERBA

Kontrola tekstu:  
WANDA JASIUKIEWICZ

Kierownik techniczny:  
MIROSLAW DZIKI

Brygadier sceny:  
TADEUSZ KACZMAREK

Kierownicy pracowni:

krawieckiej męskiej:  
główny krojczy:  
krawieckiej damskiej:  
perukarskiej:  
szewskiej:  
stolarskiej:  
malarskiej:  
modelatorskiej:  
tapicerskiej:  
ślusarskiej:

Józef Preckalo  
Michał Stolarski  
Wanda Preckalo  
Mieczysław Wojczyński  
Mikołaj Bratasz  
Michał Praisner  
Tadeusz Chądzyński  
Tadeusz Żakiewicz  
Ryszard Tkaczyk  
Stanisław Tapek